ROK DRUGI.

№ 38.

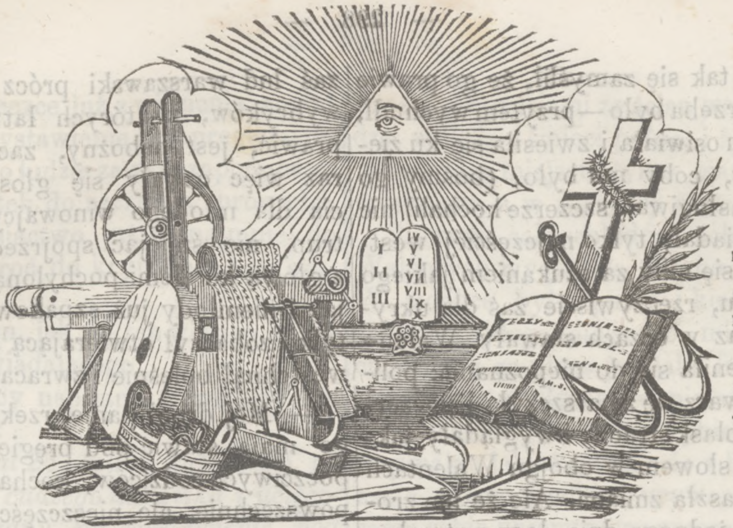
Warszawa

Dnia 8 (20) Września

1857.

Niedziela

15 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Często goreje ogień, lecz płomień nie wznosi się bez dymu.— tak i niektórzy pałają żądzą ku niebu, a od pukus wolnymi nie są, i gdy o dobro nieznikome proszą, nie czynią tego jednak w zupełnéj czystości i jedynie dla chwały Bożéj. (O naśl. Chr. K. 3, R. 49).

Żniwa.

Brzęczą sierpy wśród zagonów
Od saméj jutrzenki,
A na widok Bożych plonów
Brzmią raźne piosenki:
Będzie *jara*, będzie żyto,
Będzie dosyć chleba,
I w stodółce jak nabito,
Czegoż więcéj trzeba?
Przodownica jak malina
Śmiało sierpem toczy,
Przy niéj chłopak gdyby trzcina
Zwraca ku niéj oczy.
Poza niemi jakby wieńcem
Z wstążek i korali,
Ciągną żeniec poza żeńcem,
Co raz daléj, daléj.
Matka ziemia się nie sroży,
Choć jéj tną równiny,
Boć ten cały ludek Boży,
Toć to są jéj syny.
Ona karmi ich swym plonem
W każde żniwo nowe,
I ogrzewa własnem łonem,
Gdy w niéj złożą głowę.
Więc też żeńcy ciągną sznurem,
I z sierpem po plonach,
I z tą pieśnią, co brzmi chórem
Na naszych zagonach.
A gdy kłoska już niestanie,
Splotą upominek,
I zawieszą go na ścianie
W szczęsnym dniu dożynek.

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

(Ciąg dalszy patrz nr. C. 37)

V.

I tak zeszło lat dziesięć— Walenty zawsze poczciwy wypełniał lokajskie swe obowiązki, Walentowa prała, cerowała; słowem choć w pracy, ale żyli oboje w szacunku i poważaniu ludzkiem. Uważaliśmy tylko, że sam Walenty od pewnego czasu stał się bardziéj milczący; cza-

sami przy robocie tak się zamyślił, że go prawie jak ze snu budzić trzeba było — przytem wychudł, wyżółkł, głowa mu osiwiała i zwiesiła się ku ziemi, a zapytywany, coby mu było, (bośmy go wszyscy, którym usługiwał, szczerze kochali) nic zwykle nie odpowiadał, tylko najczęściéj westchnął, i nachylił się niby za szukaniem jakiego domowego sprzętu, rzeczywiście zaś dla ukrycia łez, co mu zaraz w oczach stawały. Walentowa to samo zmieniła się do niepoznania: policzki jéj zapadły, twarz się zmarszczyła i poczerniała, oczy dawny blask straciły i wyglądały jakby mgłą pokryte; słowem w obojgu Walentach wielka, a smutna zaszła zmiana. Ale że nie zrobiła się ona nagle jednego dnia, lecz potrochu, stopniowo, widując więc ich prawie codziennie, nie zwróciliśmy na nią uwagi. Dopiero po pewnym czasie, rzecz się sama przypadkiem wyjaśniła.

Jednego bowiem dnia przechodząc ogrodem Krasińskich, kiedym miał bramą wychodzić na Nalewki, zatrzymany zostałem przy wyjściu licznem zbiegowiskiem ludu, wyraźnie oczekującego na coś niezwykłego. Powodowany ciekawością kiedym chiał spytać się o powód zebrania, zwłaszcza, że dostrzegłem i policyą i żandarmów, otworzyła się brama od gmachu więziennego, i wyjechała z niéj kareta, za nią zaś wytoczył się prosty wóz dwoma zaprzężony końmi, powożony przez jednego z oprawców, do którego obrócony plecami siedział więzień na małéj ławeczce, z ogoloną przez pół głową, w szarem więziennem ubraniu, ze skutemi żelazem rękoma, i czarną na szyi tablicą, na któréj białemi literami wypisany był rodzaj przestępstwa i kary, jaka go za nie dotknęła. Przed więźniem stał dozorca więzienny w mundurze; wóz dokoła otaczała żandarmerya konno z dobytemi pałaszami, przed niemi także na koniu jechał Mistrz sprawiedliwości w czarnym fraku, okryty czerwonym płaszczem.

Po całéj tej ceremonii domyśliłem się, że na placu Muranowskim odbędzie się egzekucya wystawienia pod pręgierzem winowajcy, a jakkolwiek nader przykrym jest widok podobnego upadku człowieka, którego współ-bliźni jako szkodliwego usuwać aż muszą społeczeństwu, karać i zamykać niby zwierza dzikiego w klatce, dla natłoku jednak zmuszony zostałem zatrzymać się w miejscu, i mimowoli być świadkiem przejazdu całego orszaku i różnych rozmów, jakie z tego powodu widzowie między sobą prowadzili. Że zaś lud warszawski prócz małych niektórych wybryków, z których łatwo mógłby się poprawić, jest nabożny, zacny i litościwy, zaraz więc ozwały się głosy pełne współczucia dla młodego winowajcy, który blady jak trup, nie śmiejąc spojrzeć na nikogo, siedział z głową ku ziemi pochyloną. Obok mnie stał jakiś niemłody już, szpakowaty mężczyzna. Jak tylko zobaczył otwierającą się bramę więzienną, westchnął boleśnie i zwracając się do mnie:

— Mój drogi panie, rzekł, szkoda chłopca, co go mają stawić pod pręgierzem; syn to bardzo poczciwych rodziców, kochanych i szanowanych powszechnie, ale nieszczęście chciało, że jedynak—matka go psuła pieszczotami, na wszystko pozwalała, osłaniała błędy jego, nigdy nie skarciła, wszystko mu wierzyła co jéj powiedział, i dlatego wszyscy jéj zdali się źli, tylko jeden jéj synaczek najlepszy i do złego nawet niezdolny. Ojciec znowu choć wiedział to wszystko, ale nie miał siły oprzeć się kochanéj przez siebie żonie, i choć czasem burknął i odgrażał się, żona jednak zawsze go zagadała; on więc unikając domowéj burzy, zatulał tylko uszy i schodził z oczów zagniewanéj małżonki. Syn zaś w młodym wieku był jak najpoczciwszym chłopcem i dla dobrego serca wszyscy go kochali, tak, że pewni byliśmy, iż z czasem wykieruje się na porządnego człowieka i stanie się prawdziwą pociechą i pomocą w starości rodzicom. Ale zawcześnie zasmakował w próżniactwie, w zabawkach, w spacerach, zaprzyjaźnił się z młodymi hultajami, z niemi wyprawiał sobie hulanki, bachandrye; każdy grosz w terminie zarobiony tracił na zbytki, zaczął się opuszczać w pracy, robić aby zbyć, oszukiwać majstra, czeladź i kłamać coraz więcéj, tak, że u nikogo już nie miał wiary. Jak brakło pieniędzy na hulanki, tak zaczął pożyczać, a gdy i pożyczki już mu się więcej nie udawały, zabrał się do wykradania z kieszeni, naprzód chustek, późniéj woreczków i sakiewek. Złapany na uczynku i skarany policyjnie stracił miejsce, oddany do innego majstra, pilnowany i naglony do pracy, mając sobie wzbronione wszelkie zabawki i bałamuctwa, zbyt już zasmakowawszy w próżniactwie, nie mógł znieść ścisłego dozoru, uciekł, połączył się z dawnymi towarzyszami, którzy mu ową złą drogę pokazali i pomału idąc od niteczki do igiełeczki, od rzemyczka do koziczka, a od koziczka do koniczka, popełniwszy kilka gwałtownych kradzieży, przy

jednéj z nich, po ucieczce już z więzienia, został ujęty i skazany na wystawienie pod pręgierzem. Oj! bieda, bieda, że to ludzie zawsze zapominają, iż tylko praca i statek do szczęścia prowadzi, hultajka zaś i próżniactwo już co najmniéj do żebraniny, a częstokroć do kryminału i na szubienicę.

— A nie wiesz pan, jak się ten więzień nazywa? zapytałem opowiadającego.

— Ot stoi na tablicy napisane, i rzekłszy to, zaczął czytać głośno:

Tomasz Nowik, lat 25, *religii katolickiéj, za kradzież, przybranie cudzego nazwiska i ucieczkę z więzienia, skazany na wystawienie pod pręgierzem, pozbawienie wszelkich praw i osiedlenie w Syberyi.*

Nazwisko i imie tak mi znane dobrze, niezmiernie mnie zastanowiły, ale zanim zdołałem zebrać myśli, przypatrując się przeciągającemu przed memi oczyma orszakowi, usłyszałem tuż około siebie głośny jęk. W téj saméj chwili wóz z więźniem zrównał się ze mną, i jakby ów jęk boleści i rozpaczy, co się obił o moje uszy, doszedł do niego, Tomasz Nowik spojrzał w stronę, gdzie stałem, pobladł jeszcze bardziéj, poruszył rękoma, chciał widać twarz sobie zasłonić, czego mu okucie nie dozwoliło. Jednocześnie zaś z poza mnie wysunął się jakiś człowiek naprzód, i z rozczochraną gołą głową, z wyciągniętemi ku wozowi rękoma, zawoławszy okropnym jakby nie ludzkim głosem:

— Synu mój nieszczęsny, synu! padł jak długi przy wozie bez przytomności na bruk uliczny, tak, że omało nie został stratowany przez żandarmskiego konia.

Spojrzałem na biednego ojca, tak mi dobrze znajomego poczciwego Walentego, i zadrżałem, patrząc, jak biedaczysko leżał w błocie bez życia prawie, z głową krwią broczącą, po któréj wiatr poruszał siwe kosmy włosów. Docuciwszy się biedaka i przewiązawszy ranę, powiozłem go dorożką do domu, nie wiedząc, że czeka mnie okropniejszy jeszcze widok. Jak tylko bowiem weszliśmy do pomieszkania, niegdyś tak schludnie i czysto utrzymywanego, uderzył mnie nasamprzód nieład, brud i nieporządek, który z każdego kątka, z każdego sprzętu wyzierał, jakby żaląc się na takie opuszczenie i zaniedbanie. Łóżko niegdyś zawsze czysto i starannie usłane, stało teraz zmięte, rozrzucone, poduszki leżały na ziemi, obrazki powyrywane wraz z gwoździami ze ścian walały się po podłodze; wszędzie śmieci pełno, i żaden sprzęt nie na właściwem miejscu, tylko wszystkie poruszone, wysunięte, a w znacznéj części powywracane.

Słowem, cała schludna, cicha i miła stancyjka Walentych wyglądała jak po świeżym rabunku. W izdebce było pusto i kiedy zacząłem upatrywąć najdogodniejszego miejsca dla złożenia chorego, z za pieca jak jaka furya, z obłąkanym wzrokiem, z włosami w nieładzie, boso, w brudnéj podartéj koszuli, wybiegła Walentowa, i trzymając jakieś zawinięcie z bielizną w ręku, zaczęła mówić prędkim, urywanym głosem, często sama sobie przerywając przerażającym szalonego śmiechem, na który mi dziś jeszcze włosy stają na głowie i dreszcz przechodzi po ciele.

— Zaraz, zaraz, zatrzymajcie się, tylko się ubiorę. Ludzie mówią, że Tomusia pod pręgierz prowadzą, ha! ha! ha—głupi ludzie, nie wiedzą, że on się żeni. Cicho! i przy tych słowach nadsłuchiwała z palcem do ust przyłożonym, po chwili mówiła daléj: O! jadą już, karety turkocą po bruku, bo moja synowa to bogata dziedziczka. Przez zazdrość Tomusia przyaresztowano, okuto go w złote obręcze, ale ha! ha! głupi ludzie; dziś już się żeni, będzie wesele. Cicho!... jadą już, jadą, co to ludzi się przypatruje, ha! ha! ha!—a jak to mi zazdroszczą mego Tomusia, i gwałtem powiadają, że on kryminalista, ha! ha! ha!

Biedna matka, z żalu i rozpaczy dostała pomieszania zmysłów.

Na trzeci dzień po tem, dwukonny karawan poprzedzony duchowieństwem, odprowadzał z kaplicy OO. Reformatów poczciwego Walentego Nowika, na wieczny spoczynek na cmentarz Powązkowski. Za karawanem postępowała nieliczna gromadka ludzi, złożona ze szczerych przyjaciół i dawnych panów Walentego, którzy cząc pamięć zacnego i nieszczęśliwego człowieka, składką zebraną pomiędzy sobą, sprawili mu przyzwoity pogrzeb, i odprowadziwszy zwłoki na samo miejsce, rzucili na skromną trumnę po garści ziemi.

Walentowa odwieziona została do szpitala obłąkanych; kiedym ją odwiedzał, siedziała skulona na ziemi, w kaftanie krępującym, t. j. nie dopuszczającym gwałtownych ruchów, a co chwila nadstawiając głowy, jak do nadsłuchiwania, mówiła: Cicho, już jadą, słychać turkot.

Biedaczka ciągle jeszcze wyglądała syna; dziś się znacznie uspokoiła i doktorzy mają nadzie-

je jéj uzdrowienia, bo chwilami wraca jéj zupełna przytomność; wtedy rzewnemi zalewa się łzami, i błagając Boga o przebaczenie dla siebie za słabość, jaką okazywała dla jedynaka, a która stała się przyczyną jego występków i zbrodni, prosi o miłosierdzie Jego dla syna, którego dotąd kochać nie przestała.

Kilka słów o Jedwabnictwie krajowem.

Jak każda nowa myśl wprowadzona w życie, to jest w czyn, znajduje wielu, nie już niedowiarków, lecz nawet niechętnych i przeciwników, tak samo i wszelkie dążenia naszéj Spółki Jedwabniczéj spotykają w wielu miejscach na prowincyi jeżeli nie zupełną niechęć, to przynajmniéj naganną obojętność, któréj wszelako nie chcemy i nie możemy przypisywać innéj przyczynie, jak tylko brakowi wiary w powodzenie jedwabnictwa w naszym kraju i w naszym klimacie. Ażeby więc mylne to mniemanie sprostować, widzimy się w obowiązku poznajomić naszych czytelników, iż w Królestwie Pruskiem, będąca w takich samych, częściowo nawet w gorszych warunkach co do klimatu niż u nas, hodowla jedwabników, stanowi niemałe już źródło dochodu dla wielu rodzin, oraz ważną gałąź rolnictwa i przemysłu krajowego.

Myśl hodowli jedwabników świeża u nas, była dawno już rozpowszechnioną u naszych sąsiadów; nic więc dziwnego, że oni nas na téj drodze wyprzedzili. Porównywając wszakże osiągnięte przez nas i przez nich skutki, w równym przeciągu czasu, możemy sobie powinszować ich wypadku i najpiękniejsze w przyszłości rokować dla jedwabnictwa krajowego nadzieje.

Drobne trudności, jakie na téj napotykamy drodze, nie powinny nas zrażać; usiłowania początkowe w Prusach były nierównie zawodniejszemi od naszych, a jednakże w końcu wytrwałością przezwyciężone zostały.

Jeszcze Fryderyk, Wielki Elektor, a po nim Fryderyk IIgi troskliwi o otworzenie swym krajowcom nowego źródła zarobkowania, myśl rozpowszechnienia w swym kraju jedwabnictwa powzięli i w użycie wprowadzili.

Za ich rozkazem pozakładane zostały liczne plantacye morwowych drzew; wszystkie cmentarze również morwami pozasadzano — każdy wieśniak posiadający kawałek roli, był w obowiązku drzewa morwowe sadzić i pielęgnować.

Jajka jedwabników, głównie wtedy z Włoch sprowadzane, rozsyłano po kraju; nagrody za troskliwe ich hodowanie udzielane były przez rząd w medalach złotych i srebrnych, a nawet w nagrodach pieniężnych.

Przy takich zachętach ze strony władzy rzucono się skwapliwie do hodowli jedwabników; zwłaszcza słudzy kościelni i wiejscy nauczyciele, swobodniejsi co do czasu i więcéj oświeceni od prostych kmieci trudnili się nią z pomyślnym skutkiem, wszakże i wielu posiadaczy gruntowych szło z nimi w zawody. I tak: Amtman (dzierżawca dóbr rządowych) Eichstädt z Himmelspfortw, gdzie się znaczna ilość drzew morwowych znajdowała, w r. 1800 zebrał 52 funtów jedwabiu, otrzymawszy za to złoty medal i 75 talarów w nagrodę.

W Bornimie i Grabowie zajmowano się jedwabnictwem od r. 1786 do 1816. Sługa kościelny Thim w Bornimie zebrał w r. 1786, 52 funty jedwabiu, i 8 funtów 4 łuty floresu. W wielkim wojskowym domu sierot w Poczdamie, hodowano jedwabniki od r. 1749 z rozmaitem powodzeniem; w r. np. 1758 zebrano 102 funty jedwabiu.

Ale chwilowe niepowodzenia każdego świeżego przedsięwzięcia, zaczęły zrażać umysły i zaraz znaleźli się ludzie, dowodzący, iż było niepodobieństwem, a nawet nierozwagą usiłować rozpowszechnić jedwabnictwo w klimacie mu nieprzyjaznym, że siły te zwróciłby raczéj należało do przedsięwzięć korzystniejszych. Napróżno miłośnicy dobra krajowego dowodzili im, iż hodowla jedwabnictwa nie przynosi szkody żadnéj innéj gałęzi przemysłu, że nie zabiera rolnictwu ziemi, ponieważ dostacznem jest obsadzać morwami rowy, płoty i drogi w miejsce innego rodzaju drzew; że ponieważ morwa udaje się nawet na gruntach lżejszych, może być więc bardzo użyteczną do umacniania ziem piasczystych, obok tego, iż stanowi prawdziwą ozdobę wsi i zagród, że wreszcie jedwabnictwo nie odrywa rąk od roli, gdyż hodowanie jedwabników poruczanem i spełnianem być może przez ludzi starych, niezdolnych już do cięższéj pracy, i przez dziatwę, pod ich dozorem. Pomimo to niechęć do jedwabnictwa zaczęła się coraz więcéj rozszerzać, w skutek czego, owe drzewa morwowe, dotąd starannie pielęgnowane, wyniszczały, a domy i zakłady jedwabnicze rządowe,

na inne użyte zostały cele; i gdyby ta szalona niechęć była potrwała lat jeszcze kilka, nie byłoby zostało ani śladu jedwabnictwa w Prusiech.

Znaleźli się wszakże ludzie, których umysł nie uległ powszechnemu temu obłędowi—wytrwałość ich uwieńczona pomyślnym, wieloletnim skutkiem, zaczęła zbawiennie oddziaływać. Sąsiedzi widząc dobre owoce ich usiłowań, ochłonęli, że tak powiem z owego ogólnego przestrachu; morwy, jakie jeszcze ocalały, zaczęły być przedmiotem nowéj troskliwości i starań — obok nich wzniosły się młodociane plantacye, zaczem poszła hodowla jedwabników, i dziś przyszło do tego, iż Prusy oszczędzają corocznie po parę milionów talarów, jakie dawniéj na kupno surowego jedwabiu na przerób w kraju, za granicą wydatkowały.

I nasze jedwabnictwo niemniéj pomyślnego spodziewać się ma prawo rozwoju. Próby wyrobów z krajowego jedwabiu na wystawie tegoroczněj, skutek ten w zupełności poręczają; powołujemy się w téj mierze na to, co pisze gazeta Warszawska w numerze 186 r. b., w artykule o wystawie wyrobów rękodzielniczych i płodów rolniczych.

Mamy też na wystawie bardzo ciekawe okazy jedwabiu surowego w dwóch gatunkach, nici w różnych numerach, w cenie po 200 do 300 rs. za pud; nadesłane przez Towarzystwo do upowszechnienia na Kaukazie jedwabnictwa i rozszerzenia handlu oraz przemysłu. Zakłady tego towarzystwa istnieją już w koloniach Car-Abadzie, Jugonarchu i Dżafar-Abadzie, gubernii Szemachińskiéj, powiecie Nachimskim. Wszystek wyprodukowany tam jedwab' idzie wyłącznie do Moskwy. W roku zeszłym wyprodukowano tam 188 ½ pudów kokonów, z czego wysnuto jedwabiu 29 pudów. Jedwab' ten znawcy tutejsi znajdowali dość twardym i szorstkim, a w każdym razie znacznie pośledniejszym *od tutaj wyprodukowanego*, co łatwo było sprawdzić, mając tuż okazy surowego jedwabiu *naszéj Spółki Jedwabniczéj*. Jedwab' z jajek najprzedniejszych ras jedwabników francuzkich André-Jean, który dostał wielki medal na wystawie Londyńskiéj, przez Spółkę Jedwabniczą wyprodukowany, *wcale francuzkiemu nie ustępuje*. Ma ten sam połysk cudowny, tę miekkość i moc, jaką się południowéj Francyi i Włoch jedwabie zalecają. Pośledniejszy cokolwiek od tego, jest jedwab' z tutaj oddawna hodowanéj rasy, ale zawsze na postaw w materyach doskonały i od kaukazkiego lepszy. Zresztą obok zawieszone wyroby z niego, fulary, mantyna, adamaszek z jedwabiu przez panią Lewicką z Regowa zebranego zrobiony, stanąć mogą obok najlepszych zagranicznych tkanin i pewno się utrzymają na równi.

Pana Eustachego Marylskiego z Książenic, Wołowskiego Aleksandra, Szotlanda Aurelego i Hanusza oprzędy i jedwab' z nich wysnuty świadczą, że usiłowania Spółki Jedwabniczéj nie są daremne, i że szlachetne jéj przedsięwzięcie z czasem wyda pożądane owoce.

Obok tego ze świeżo ogłoszonego *Sprawozdania Zarządu Spółki Jedwabniczéj*, za czas od dnia 1 czerwca 1856, do dnia ostatniego maja r. b. dowiadujemy się, że wychów jedwabników na rzecz Spółki urządzony, wydał 207 funtów oprzędów; z tych około 130 funtów oddano do rozwijalni Spółki, resztę zaś przeznaczono na utrzymanie jajeczek jedwabniczych, aby o ile można najspiesznićj zaopatrzyć jedwabnictwo krajowe w rasę jedwabników krajowi przyswojonych, a przez to wytrwalszych na choroby i przeciwności, jakie w ostatnich szczególniéj latach, południowe i zachodnie kraje Europy dręczą. Myśl ta rozwijania jedwabnictwa w okolicach więcéj ku północy posuniętych, gdzie jedwabnik zdrowo się wychowuje, coraz bardziéj przyszłą jego pomyślność pewniejszą czyni. Dowiadujemy się daléj:

Że rozwijalnia Spółki w ubiegłym roku, miała sobie dostarczonych oprzędów z różnych stron kraju od 33 osób, funtów 223, kiedy w roku poprzednim dostawiono ich zaledwie 46 funtów—postęp więc w téj mierze jest widocznym, jakkolwiek i ta ilość jest jeszcze bardzo małą w porównaniu do ilości liści morwowych, jakie kraj już posiada; i gdyby choć połowę tych liści na jedwab' przerobiono, coby prawie bez kosztu, przy pomocy niewielkiéj pracy i nieobszernéj wiadomości, siłą saméj tylko dobréj chęci dało się wykonać, mielibyśmy tysiące oprzędów, a rozwijalnia Spółki mogłaby za znakomitą wartość i wielką summę pieniędzy rozwinąć jedwabiu.

Dochody prywatne skorzystałyby tę summę, któraby obok tego stała się prostym przybytkiem bogactwa krajowego— brak tylko wiadomości i obojętność właścicieli drzew morwowych stoi temu na przeszkodzie.

Dla większego zachęcenia do wychowu je-

dwabników, Zarząd Spółki podniósł na ten rok o 1/5 część cenę oprzędów w rozwijalni nabywanych, to jest z kop. 50 (złp. 3go 10) do kop. 60 (złp. 4) za funt.

Liczniejsze zgłaszania się w roku bieżącym, po nabycie jajeczek jedwabniczych, przepowiadają obfitszą dostawę oprzędów; można się więc spodziewać, że wyrób jedwabiu w tym roku w rozwijalni Spółki rozwiniętego przejdzie o wiele ilość, w roku zeszłym wyrobionego i rozwijalnię w czynniejszym utrzyma ruchu.

Jakkolwiek z praktyki miejscowéj niepodobna przejść jeszcze do oznaczenia cyfry czystego dochodu, jaki hodowla jedwabników przynieść może jednéj np. rodzinie, hodowli téj oddającéj się, możemy jednak w téj mierze posiłkować się doświadczeniem naszych sąsiadów w Prusach, w których warunki hodowli, jakieśmy to już wyżéj powiedzieli, nie są bynajmniéj przyjaźniejszemi od naszych. Otóż z książki pana Türk o jedwabnictwie poczerpujemy wiadomości poniższe:

„Sługa kościelny Götze w *Sztukach*, (pisze pan Türk), opowiadał mi przypadkowo, że on już od 26 lat z pomyślnym skutkiem jedwabnictwem się trudni, i że ono mu rocznie 130 do 150 talarów czystego dochodu przynosi.

Znałem go z rzetelności, więc nie mogłem powątpiewać o prawdzie jego podania; ponieważ jednak powziętego przesądu, *że jedwabnictwo nie dla naszego klimatu*, nie mogłem się pozbyć, odwiedziłem go w Sztukach, gdzie z obejrzenia całego urządzenia i ze zbioru otrzymanego przezeń jedwabiu przekonałem się o prawdzie słów jego, już to własnemi oczyma, już też z obrachunków, które on mi wraz z kwitami okazał.

Ale też i to spostrzegłem, że miejscowe okoliczności jedwabnictwu niebardzo sprzyjały; miejsce do hodowania jedwabników było dosyć szczupłe, duszne i niedosyć jasne, na co przecie szczególniéj uwagę zwrócić należało. Liście zaś po większéj części sprowadzono zdaleka.

Lecz właśnie ta okoliczność, że przy tych nieprzyjaznych warunkach, tak znaczny zbiór osiągnięto, tem bardziéj mnie zaciekawiła i do bliższego badania spowodowała.

Poprosiłem więc Götza, iżby mi dał dokładnie postępowanie swoje z jedwabnikami opisać, i podał zarazem przyczyny, o ile te są mu wiadome, dla jakich dotychczas jedwabnictwo (w Prusach) nie udawało się.

I w tym celu zadałem mu kilka zapytań, które tu wraz z jego odpowiedziami dosłownie zamieszczam:

1. *Pytanie.* Ile morgów gruntu zajmują drzewa, których liście do karmienia jedwabników w *Sztukach* użyte zostały?

Odpo. Drzewa te nie stoją razem, ale są pomieszane z innemi drzewami; posadzone obok siebie mogłyby około morgi gruntu zająć — prócz tego zadzierżawiłem w tym roku od dziedzica w Blankensée za 4 talary morw, które nad drogą stoją i po większéj części są mizerne; na jednem miejscu posadzone, trzy morgi gruntu zajęćby mogły.

2. *Pytanie.* Jak wielką dzierżawę za grunt pod drzewa morwowe użyty, w tamtéj okolicy płacić trzeba, albo, ileby mógł uczynić, gdyby kartoflami albo zbożem był obsiany?

Odpo. Ponieważ drzewo morwowe i na lekkim gruncie się udaje, prędzéj nawet na piasczystym, byle tylko nie litym piasku, aniżeli na niskim i zbyt wilgotnym gruncie, nie można więc wiele na dochód z takiego gruntu liczyć. Że zaś w naszéj okolicy morga gruntu pod zboże lub kartofle 1 talar się rachuje, więc możnaby morgę lekkiego gruntu za 8 dobr. gro. (złp. 2), a nawet mniéj dostać w dzierżawę, jeżeli nie leży w polu uprawnem.

3. *Pyta.* Ile ci zbiór jedwabiu w ostatnich 6ciu latach uczynił?

Odpo. Najlepsza na to pytanie odpowiedź, przedstawiający się rachunek dochodu i wydatku. Otóż z owego obrachunku z lat 1822 i 1823 przekonałem się, iż dochód ten wynosił:

Z 10 łutów jajek jedwabniczych otrzymano:

1. 29 funtów cienkiego jedwabiu, licząc po 5 1/3 talarów (złp. 32) za funt. Talarów 154 dobr. gr. 16.

2. 2 1/8 funtów dubeltowego (to jest z dubeltowych kokonów) po 2 1/3 czyni Tal. 11 dobr. gr. 16. Razem talarów 166 dobrych groszy 8.

Wydatki zaś czyniły:

1. Dzierżawa liścia drzew morwowych—tal. 6.

2. Rwanie liścia, trzem najemnikom przez 16 dni po 8 dobr. gro. (złp. 2) dziennie—tal. 16.

3. Motanie jedwabiu, jeżeliby przez najemników miało być uskuteczniane, od funta 16 dobr. gro., czyni od funtów 33 i 3/8 funta—tal. 22. dobr. gro. 6. Razem talarów 44 dobr. groszy 6.

Pozostało czystego dochodu talarów 122 dobr. groszy 2.

Uwaga. Te 122 tal. 2 dobr. gro. zyskane zostały w czasie 6 do 7 tygodni zatrudnienia z moją żoną i trojgiem dzieci, przyczem ja moje obowiązki pełniłem, i żona z dziećmi robiły co do nich należało; a że obok tego moje córki same jedwab' zmotały, więc 22 tal. 6 dobr. gro. sobie w domu zarobiły.

W następnym roku czysty ten dochód podniósł się do 143 tal. 12 dobr. gro., i przez dalsze lata był mniéj więcéj takiż sam.

4. *Pyta*. Czy wciągu hodowania jedwabników, nie doświadczyłeś zupełnego upadku jedwabników, a przez to nieurodzaju jedwabiu?

Odpo. W 26 latach, przez tyle lat bowiem przy tutejszym kościele już służę, co rok jedwabniki hodując, nigdy całkowitego nieurodzaju jedwabiu nie doznałem, mianowicie zaś takiego, gdziebym w najgorszych nawet latach moich wydatków i procentu nie miał dostatecznie zapłaconych.

Jeżeli się dawniéj tak często na nieudanie jedwabnictwa skarżono, to niemała wina w tem była samych uprawiaczów jedwabiu, którzy przez swój nierozum, a raczéj przez Włochów, nieznających naszego kraju i klimatu zbałamuceni, same błędy popełniali. Po wielkich zakładach jedwabnictwa przez Fryderyka IIgo wystawionych i po Amtach, gdzie często przymusowo jedwabniki hodowano, dlatego się nie udawały, że ci panowie jedwabnictwa nie znali, ozięble się niem zajmowali, i najemnikami się posługiwali, którzy swéj zapłaty byli pewni, chociaż się jedwabnictwo nie powiodło.

Powstaje też i tym sposobem niemała szkoda, lub całkowity nieurodzaj:

a) Gdy izby zanadto są ogrzane, tak np. nauczyciel szkółki w F. stracił wszystkie swoje jedwabniki, że na noc drzwi i okna pozamykał, za nadto w piecu napaliwszy.

b) Gdy wszystkie jajka naraz i zawcześnie hodownik powykłada, a przymrozek nocny pierwsze listki zwarzy, przez co wylęgłe gąsieniczki z głodu zamrzeć muszą.

c) Gdy znowu jajka naprożno zostały wyłożone, przez co liście już stare przypadając na karm, zatruwają jedwabniki.

d) Łatwo też powstaje zły zbiór jedwabiu przez nieoględne rwanie liścia. Często najemnik, byle prędko miech wypełnił, obrywa mokre, w cieniu rosnące ladajakie liście i niemi owady zatruwa."

Otóż według powołanego dziełka pana Türk, te były przyczyny początkowego niepowodzenia hodowli jedwabników w Prusach, z ich więc korzystając doświadczenia, każdy z hodujących u nas jedwabniki, powinien się dokładnie poinformować, jak hodowlę tę odbywać, co im dostatecznie wskaże instrukcya, jaką Zarząd Spółki każdemu z kupujących jajka jedwabnicze, bezpłatnie udziela; instrukcyę tę nadto w swoim czasie w piśmie niniejszem zamieścimy. Dziś chcieliśmy jedynie niedowierzających powodzeniu u nas w kraju jedwabnictwa, przekonać, iż przedsięwzięcie to zanim przyswojone zostało, obejrzanem zostało wszechstronnie, i że dopiero po dojrzałéj rozwadze w życie je wprowadzono.

Zarząd Spółki jedwabniczéj, postępując z niezmordowaną gorliwością na swéj drodze, przyszedł już do tego, że we własnych plantacyach morwy posiada:

a) Drzewek wysoko-piennych od 6 do 9 letnich na skraju sadu wysadzonych—sztuk 290.

b) Drzewek 4 do 9 letnich, nisko-piennych, właściwy sad stanowiących, wysadzonych — sztuk 3316.

c) Płonek 4 letnich, z gatunku morwy chińskiéj wielkolistnéj, *Lhou* zwanéj wysadonych—sztuk 260.

d) Krzaków 4 letnich, plantacyę krzakową składających, wysadzonych—sztuk 900. Razem sztuk 4,766.

Prócz tego znajduje się w szkółkach płonek 3 letnich przeszło wysadzonych sztuk 3000, i w żywopłocie, takichże płonek około—sztuk 4000. W ogóle sztuk 11,766.

Te 11,766 sztuk morwy, stanowią węgielny kamień jedwabnictwa krajowego, i gdy wszystkie te drzewka dojdą już do swéj pory, iż dostarczą zbioru liścia dla jedwabników, wtedy dopiero rozpocznie się prawdziwa epoka wzrostu onego; bo wówczas i najmniéj przychylni i najbardziéj wątpiący zamilczeć zmuszeni będą, przed wypadkiem na cyfrach i wpływie pieniędzy opartym,— cały ogół w jedwabnictwo krajowe uwierzy i chwyci się za przemysł tak bogaty, a obok tego każdemu tak dostępny, gdyż prawie żadnego kapitału zakładowego w domowem jego rozwinięciu niewymagający.

Dla upowszechnienia uprawy morwy Zarząd Spółki jedwabniczéj rozesłał bezpłatnie w r. b. na ręce wielu obywateli krajowych, nasienie tego drzewa — myśl ta ogólne współczucie pomiędzy niemi sobie zjednała; znaleźli się jednakowoż i tacy, którzy uznali właściwem od-

powiedzieć, iż będąc dzierżawcami, nie są bynajmniéj interesowanymi w hodowli morwy, z któréj korzyści zbierać sami nie będą. Przypuścić musimy, iż ci panowie nie pomyśleli nad tem, że własne dobro z dobrem całego kraju kojarzyć winni. Cóżby im hodowanie morw szkodziło, skoro ono oprócz trochy dozoru, żadnego nakładu, ani szczególnych starań nie wymaga? Toć około swego zabiegając mienia, nie pracują dla samych tylko siebie, ale i dla swych dzieci, lub swéj rodziny— wieleżby to trudu było ich kosztowało rozprzestrzenić ciasne kółko swych zabiegów i jakąś cząsteczkę ogólnemu dobru krajowemu poświęcić? Spodziewamy się, że te słów kilka, dostatecznemi będą do zwrócenia ich uwagi, i zajęcia się tem gorliwszego rozpowszechnieniem uprawy tego dobroczynnego drzewa.

Grzegórz Kulczycki.

Kiedy w roku 1683 Turcy w 300000 wojska Wiedeń oblegli, i przez dwa miesiące miasto ciągłemi napadami i bombardowaniem niszczyli, Tatarzy zaś ogniem i mieczem kraj pustoszyli, wtedy Jan III (Sobieski) król polski w 25000 polaków przybył Cesarzowi Austryackiemu na pomoc dnia 3 września tegoż roku.

W tym to czasie Grzegórz Kulczycki rodem z Samborza w Galicyi, znajdujący się w Wiedniu, podjął się przebrany po turecku, przejść przez obóz nieprzyjaciela i przenieść ważne listy od dowódzcy miasta Wiednia.

Kulczycki przebywając długi czas w Turcyi, poznał dobrze język miejscowy, a pełen odwagi, z niebezpieczeństwem życia, dnia z 4 na 5 sierpnia, o godzinie 10 w nocy przywdziawszy szaty tureckie, wspólnie ze służącym swym Janem Michałowiczem, opatrzony listami władz Wiedeńskich, wyszedł do obozu nieprzyjaciela. Gdy się rozwidniać zaczęło, ujrzał on ogromne massy wojska i namiotów rozrzuconych po obozie. Mimo to Kulczycki ze swym towarzyszem, szedł wesoło, choć deszczem nocnym zmoczony, nucąc dla niepoznaki, śpiewki po turecku. Nagle natrafił na namiot znakomitego Agi tureckiego, który wdał się z nim w rozmowę, a litując się nad przemokłym rodakiem, przyjął go gościnnie. Kulczycki opowiedział mu, że wyszedł dla uzbierania winogron i innych owoców. Gościnny Aga dał mu się napić kawy, napoju tureckiego, jeszcze wtedy w Europie prawie nieznanego, wkońcu pożegnawszy się z nim, odprowadzić go kazał daléj dla uniknienia chrześcian.

W dalszéj swojéj wędrówce Kulczycki napotkał liczne wojska tureckie, naprzeciw zaś wioski Kalenberg, na wysepce leżącéj na Dunaju, rzece, która pod Wiedniem płynie, ujrzał gromadę ludzi, a po kobietach bliżéj piorących poznał, że to byli chrześcianie. Ludzie ci biorąc wędrowników za nieprzyjaciół, dali do nich ognia, dopiero Kulczycki czyniąc znak krzyża Sgo, dał się im poznać, opowiedziawszy następnie cel wyprawy swojéj.

Napełnieni najżywszą radością, przewieźli, sprowadzonym statkiem, do obozu chrześciańskiego naszych podróżnych. Tu pułkownik dał im dwa konie i do głównéj kwatery odesłał, gdzie Kulczycki dnia 5 sierpnia rano wręczył Naczelnemu dowódzcy listy powierzone z Wiednia, a po dopełnieniu swego posłannictwa, tą samą drogą, którą tu przybył, wracał już do miasta. Znowu téj nocy była ulewa, jak wtedy, kiedy z Wiednia wychodził. Kulczycki zmęczony, i zabłąkany śród ciemności dżdżystéj nocy usiadł na ziemi, oczekując światła jutrzenki. Switaniem ruszyli daléj; lecz zaraz trafiło na nich 5ciu tatarów. Kulczycki aby ujść podejrzenia, krzyknął głośno na Michałowicza po turecku, i dał mu znak, aby uciekał. Jeden przecież z owych 5ciu turków poszedł za nimi, ciągle ich mając na oku. Nasi wędrowcy schronili się nareszcie przed deszczem i niebezpieczeństwem do piwnicy domu spalonego, a gdy tu Kulczycki ze zmęczenia twardo zasnął, jakiś człowiek nieznajomy otworzył drzwi piwnicy i wszedł po schodach. Michałowicz obudził Kulczyckiego, wołając, że są zdradzeni.

Ale ów człowiek zląkł się wędrowców, i uciekł nazad z piwnicy, mimo wołania. Po takiem zdarzeniu Kulczycki uchodzić musiał ku miastu, a dnia 7 sierpnia rano przybył szczęśliwie do Wiednia, listy z obozu chrześciańskiego władzy miejscowéj oddał, i nagrodę za swą odwagę i poświęcenie się otrzymał.

W druk. J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 2 (14) września 1857 r.— Starszy cenzor, F. Sobieszczański.